

*"My Polacy, My Dolnoślązacy"*

[www.zlote-pioro.pl](http://www.zlote-pioro.pl)

---

**autor:** Zofia Di Felicianonio

**szkoła:** Liceum Salezjańskie we Wrocławiu

**opiekun:** Marta Kamraj

**temat:** „ (...) dobrze być tam, gdzie człowiek ma swoje miejsce (...) dobrze mieć swoją bezpieczną przystań, do której zawsze można wrócić” (Stephen King). *O moim intymnym miejscu na ziemi dolnośląskiej.*

---

## Gdzie jest Michał?

Wchodzę. Ogromne drzwi głośno się zatrząskują. Mijam małą, boczną kaplicę, siadam w jednej z ostatnich ławek w nawie głównej. Ostatnie promienie zachodzącego słońca przechodzą przez kolorowe witraże i padają na czerwone cegły. Cisza. Michał Archanioł przyjaźnie spogląda na mnie z ołtarza salezjańskiego kościoła. Wydaje się, że siedzę sama, jednak tak naprawdę jest jeszcze On. Zamykam oczy i modłę się. Rozmawiamy. Tylko ja i On.

Nagle na moim ramieniu czuję ciężką dłoń i słyszę głos: „Co ty tu robisz, niewiasto? Przeszkadzasz nam w pracy, zejź z placu budowy!”. Otwieram oczy. Widzę tony piachu, cegieł i drewna, a wśród nich kilku mężczyzn ubranych w dość dziwny sposób – mieli na sobie tkane koszule i futrzane czapki. „Co tu się dzieje? Gdzie jest mój kościół?” – mówię przerażona. „Panienko, nie ma jeszcze, dopiero będzie” – odpowiada szef całego przedsięwzięcia. W jednej chwili zniknęły wszystkie znane mi okoliczne obiekty: szkoła, plebania, park Stanisława Tołpy. Najważniejsze pytanie brzmi jednak: „Co się stało ze świątynią pod wezwaniem Michała Archanioła?”. Moje ulubione miejsce rozplynęło się w powietrzu, a ja znalazłam się w samym środku zagadkowej rzeczywistości. Niepokojnie rozglądam się wokół. W całkiem bliskiej odległości widzę kilka kamienic, budynek kształtem przypominający klasztor, mury, rzekę oraz duży kościół. Sporo ludzi spaceruje pobliską „ulicą”, jeśli można ją tak w ogóle nazwać, bo błoto po kostki utrudnia poruszanie się. Podchodzę do sztywnie ubranego mężczyzny z papierami w dłoniach. „Dzień dobry, który mamy rok?” – pytam. „Najprawdopodobniej 1139, waćpanno. Skąd to pytanie?” – odpowiadamój rozmówca. „Niemożliwe! Przed chwilą był 2019! Kim pan jest i co oni tu budują?” – mówię zszokowana. „Nazywam się Piotr Włostowic i jestem fundatorem tego powstającego właśnie opactwa benedyktynów i tej małej kapliczki pod wezwaniem św. Michała Archanioła. To w 2019 roku istnieją już podróże w czasie?”. „Właśnie tu pojawia się problem, bo jeszcze ich nie wymyślono”. „To co panienka tu robi?”. „Też się zastanawiam...”. Odchodzę kilka kroków w stronę placu budowy. Opieram się o drewniane rusztowanie i wtedy coś ciężkiego spada mi na głowę. Świat zaczyna wirować, a ja osuwam się na piaskowe wzgórze.

Ciemność na kilka chwil zawiadnęła moim umysłem. Nic nie widzę ani nie słyszę. Jakby parę minut później powoli otwieram oczy. Nie ma już gór z drewna ani cegieł. Leżę w trawie, a do moich uszu dobiegają odgłosy rozmów. Powoli wstaję. Widzę park Tołpy. Znowu jestem w moim Wrocławiu! Po prawej stronie znajdują się znajome budynki Wydziału Architektonicznego Politechniki Wrocławskiej, a z lewej po stalowych szynach przejeżdża starodawny tramwaj. No właśnie – starodawny. Podbiegam do przystanku, a tam niemieckie rozkłady jazdy. Czytam, ale daty nie ma. Odwracam się i wzrokiem szukam mojego kościoła. Coś widać! Pędzę w stronę dwóch podobnych

wież. Nagle przypadkiem wpadam na jakąś studentkę, która prawdopodobnie wracała z wykładu. „Przepraszam panią” – mówię kaleczonym niemieckim. „Nic się nie stało. Wyglądasz trochę na zagubioną, może w czymś ci pomóc? Nazywam się Edyta Stein, mieszkam tu niedaleko” – odpowiada powoli i wyraźnie przemiała kobieta. Nie wierzę własnym oczom. Oto przede mną stoi przyszła zakonnica, męczennica i patronka mojej szkoły. „Który mamy rok?” – pytam w końcu zaskoczona. „Co za pytanie! 1910 oczywiście!” – wykrzykuje zdziwiona Edyta. Rozmawiamy dalej. Obecna studentka odpowiada na moje osobliwe pytania bardzo wyczerpująco. Mówi, że niedługo wyjedzie na studia do Getyngi, aby tam się rozwijać. „Mogłabyś mnie zaprowadzić do kościoła św. Michała Archanioła?” – pytam w końcu. „Chyba to ten naprzeciwko, ale nie jestem wierząca, nie powiem ci dokładnie” – mówi Edyta. Wtedy jeszcze nie wiedziała, jak potoczy się jej dalsze życie i że w wieku trzydziestu jeden lat przyjmie chrzest. Żegnaj się z przyszłą świętą i idę w stronę skrzyżowania ulic Wyszyńskiego i Nowowiejskiej (oczywiście wtedy miały inne, niemieckie nazwy). Nie istniała jeszcze wtedy oczywiście sygnalizacja świetlna, a ruch drogowy o tej porze był wzmożony. Rozglądam się. Tak bardzo chce być w moim ulubionym kościele. Jestem już tak blisko. Z daleka widzę nawę główną zakrytą przez drzewa. Wyższa wieża wystaje ponad okoliczne budynki. Szybko przechodzę przez jezdnię, ledwo uchodząc z życiem, gdyż prawie rozjechał mnie tramwaj. Do mojej ziemi obiecanej pozostało jeszcze kilkadziesiąt metrów, już widzę świątynię. Nagle słyszę grzmoty, zaczyna padać deszcz. Zza pleców dochodzi do mniedonośny głos: „Nie tym razem” i sytuacja się powtarza – padam na ziemię niczym porażona piorunem, a świat zmienia się w ciemność.

Znów się budzę. Po raz kolejny leżę na trawie, wszystko wygląda identycznie jak poprzednio. Powoli wstaję. Nagle nad moją głową przelatuje kilka radzieckich samolotów z gwiazdami na skrzydłach. Prerażona biegnę w stronę kościoła. W oddali słyszę odgłosy spadających bomb. Po drodze podnoszę wyrzuconą przez kogoś niemiecką gazetę. Szukam daty. Jest! 13 lutego 1945 roku. Końcówka drugiej wojny światowej, Twierdza Wrocław w jej prawdziwym, a nie stadionowym wydaniu. Nadal słyszę szum samolotów, a w oddali nawet pojedyncze strzały z karabinów. Przestraszona przyspieszam. W oddali kolejna bomba spada z nieba na zabytkowe budynki. W końcu zdyszana zatrzymuję się przed głównym wejściem. Powoli otwieram ciężkie drzwi. Zamykają się za mną z hukiem. Tutaj jest spokojnie. Z zewnątrz nie dobiegają tu odgłosy walki. Kościół jest pusty, ponieważ prawie wszyscy mieszkańcy zostali już dawno ewakuowani. Ołtarz główny ani boczne kaplice nie przypominają jednak współczesnej świątyni. Ubogi wystrój świadczy o braku funduszy tutejszych kapłanów. Nie ma portretu księdza Bosko, prezbiterium świeci pustkami. Siadam w jednej z ławek. W końcu czuję się bezpiecznie. Robię znak krzyża i zamykam oczy. On tu jest. Rozmawiamy. Tylko ja i On, nikt więcej.

Czuję lekkie szturchnięcie. „Przepraszam bardzo, już późno, muszę zamknąć kościół”. Odwracam się. Widzę pana Józefa, naszego kościelnego. „Nie wie pan, jak się cieszę, że tu jestem” – odpowiadam uradowana. „Ja też, ale chętnie poszedłbym już do domu. Proszę iść do siebie”. Wychodzę. Widzę szkolne boisko, parking oświetlony dwiema latarniami, sznur samochodów przejeżdżających ulicą Wyszyńskiego. Cieszę się, że mogę tu być. Pan kościelny odchodzi w stronę plebani. Jeszcze na chwilę siadam na schodach przy bocznym wejściu do świątyni. Wszystko wydaje się być takie, jak dawniej, ale jednak jest coś innego. To moja więź z tym miejscem się pogłębiła. Jest mi tutaj tak dobrze, że aż nie chce wracać do domu. Cała historia tej okolicy przeleciała przed moimi oczami, nareszcie odzyskałam mój kościół, moje intymne miejsce na ziemi dolnośląskiej. I znów jesteście razem. Rozmawiamy. Tylko ja i On.